

Roman A. Gajczak

Oswobodzenie

Wadoviana : przegląd historyczno-kulturalny 1, 53-56

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Oswobodzenie

Już od pierwszych dni stycznia 1945 roku toczyła się żywa dyskusja na temat wysadzenia mostów na Skawie. Wiedzieliśmy, że front nadchodzi od wschodu, a ściślej od Kalwarii Zebrzydowskiej. W Wadowicach Niemcy przygotowywali się do obrony, zaś Skawa miała stanowić ważną przeszkodę na drodze zwycięskiej armii sowieckiej, jak ich wtedy nazywaliśmy. Rosły emocje podsycane dalekimi jeszcze odgłosami artylerii. Panowała cicha radość, którą od czasu do czasu zakłócały hiobowe wieści: szeptano o zemście wycofującego się wroga na niewinnej ludności cywilnej, o masowych egzekucjach, wrzucaniu granatów do mieszkań i piwnic, o tarczach z żywych ludzi. Jednak wysadzenie mostów kolejowego i drogowego wszystkich najbardziej interesowało. Miał to być punkt zwrotny, ostatni rozpaczliwy gest pokonanego, przyznanie się, że to już koniec, że idzie nowe... Poza tym krył się w tym przedsięwzięciu smaczek sensacji. I jedno jedyne pytanie krążyło z ust do ust: kiedy?

Głęboko przejąłem się zdetonowaniem mostów widząc w wyobraźni apokaliptyczną wizję. Wsłuchiwałem się w rozmowy starszych, w namiętne dyskusje prowadzone przez prof. Jacha, sędziego Erba i prof. Kucharskiego, który nas w tym czasie odwiedzał.

Upłynęły trzy pierwsze tygodnie stycznia. Na okres najgorętszych dni przyszło nam się rozdzielić. W domu przy 3 Maja pozostali tatuś, Henryk, Maryla i Helena. Mama zaś zabrała Teresę i mnie, by wraz z Tadeuszem, jego żoną i synkiem udać się do p. Borgoszów, rodziców mojej bratowej. Mieszkali oni w małym domku między parkiem a Gorzeniem. Taka decyzja została podjęta w dobrej wierze. Wszak front przewalił się główną ulicą, a na peryferiach powinien być spokój.

Pożegnaliśmy się czule i w niedzielę 21 stycznia w południe poszliśmy do p. Borgoszów. Już po drodze gwizdały nad naszymi głowami pociski artyleryjskie. Gdzieś jeszcze daleko nastąpiły eksplozje. Trochę podszyci strachem doszliśmy do „Borgoszówki” (obecnie rozbudowanego domu przy Alei Wolności 76). Wkraczając w gościnne progi zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy, że wpadamy z deszczu pod rynnę. Domek p. Borgoszów wznosi się na falistym terenie, którego rzeźba jest jak gdyby stworzona do działań wojennych. Liczne pagórki i wklęsnięcia, a nade wszystko rozciągający się przed sadybą wąwóz, to miejsca jakże sprzyjające do obrony i ataku. Wzdłuż potoku, dziś już nie istniejącego, rosły gęsto wierzyby. Nawet stodoła mogła służyć na punkt strategiczny. Miejsce, które opisuję jest odległe od Alei Wolności o dobre dwieście metrów w kierunku południowo-zachodnim, aczkolwiek nieruchomości jest do Alei zaliczana. Jeszcze dziś w pobliżu można odnaleźć resztki poniemieckich bunkrów. W parku stały działa 17 armii. W wąwozie o kilkadziesiąt kroków od drewnianej chatki p. Borgoszów, Niemcy założyli gniazdo karabinów maszynowych. Za parkiem od południa, gdzie wznosi

się kolonia domków jednorodzinnych, stały niemieckie baraki junaków. Cała siła ognia z tych miejsc została skierowana w kierunku Gorzenia i wzgórza Dzwonek, dokąd już podchodzili Rosjanie z 38 Armii IV Frontu Ukraińskiego. Rychło wypatrzili niemieckie cele, zaczęli walić z armat i katusz. Odtąd nad naszymi głowami przelatywały przez pięć długich dni i nocy chmary pocisków z gwizdem, świstem, jękiem, kończąc każdą wędrówkę przerażającym hukiem.

Niezwłocznie chcieliśmy opuścić dom p. Borgoszów. Niestety, było już za późno na odwrót. Wymiana ognia zaczęła nabierać stałego charakteru i musieliśmy ulokować się w piwnicy. Piwnica - to brzmi humorystycznie, bo to była piwniczka z podnoszoną kłapą, na której stała beczka z kiszona kapustą. Wewnątrz leżały ziemniaki i trochę rupieci, zajeżdżało stęchlizną, mury były lodowato zimne, klepisko niemile. Pani Borgoszowa jak mogła zagospodarowała to nieprzystępne miejsce zapalając przede wszystkim karbidową lampę.

Zebrała się nas spora gromadka, bo do licznej rodziny p. Borgoszów dołączyli wujowie z żonami i dziećmi. Bracia p. Borgoszowej podobnie jak my rozumowali, że tu będzie bezpieczniej. Ponad dwadzieścia osób stłoczyło się pod ziemią, podczas gdy nad nami pociski wyczyniały piekielne harce. Mężczyźni przygotowali łopaty i kilofy na wypadek, gdyby nas zasypało. Kobiety zajmowały się dziećmi. Śpiewały przy tym pieśni religijne i odmawiały modlitwy. Pani Borgoszowa nie bacząc na niemilknącą kanonadę wychodziła na górę i gotowała dla wszystkich strawę, głównie groch z kapustą, bo tylko to miała. A jej najmłodszy syn, Józik także pozostawał na górze i czytał książki.

Przez cały czas pobytu w piwnicy odczuwałem albo strach albo wesołość. Bałem się, gdy pociski wybuchaly tuż obok domu, przygotowywałem na śmierć, modliłem a po chwili wraz z rówieśnicą Urszulką Borgoszoną zanosiliśmy się od śmiechu, kiedy mały chłopczyk Maksio wołał: - „Mamo, kakać” - Pomyślcie, dwudziestu ludzi żywiło się przez pięć dni przeważnie ziemniakami, grochem i kapustą!

W pojedynku artyleryjskim zdarzały się przerwy. Jak dobrze było wtedy wyjść z lochu i rozprostować kości. Jednego dnia bawiłem się w pokoju z synkiem brata - Jureczkiem. Posadziłem go na stole. Nadleciały samoloty radzieckie i rzuciły bomby na domy stojące vis a vis szpitala. Nastąpił huk tak ogromny, że Jureczek spadł ze stołu, na szczęście nic mu się nie stało. Widziałem krążące samoloty z czerwonymi gwiazdami nad skrajem gorzeńskiego lasu, które wytrwale rzucały całe serie lekkich bomb. Wybuchaly gejzery ognia, samoloty nurkowały i wznosiły się, ładnie to wyglądało, nie mogłem oczu oderwać od okna. Obok mnie stał Józik Borgosz.

Gdy nie strzelano, żołnierze z wspomnianego z wąwozu, wstępowali do domu, aby się zagrać. Dzieciom dawali grube tabliczki czekolady. - „Nie jedzcie, to zatrut!” ktoś ostrzegał. Gruby Niemiec o odrażającej fizjonomii machnął ręką i zamruczał: - „ Nie zathute”. - Zjedliśmy czekoladę z Maksiem na spółkę. Dobra była.

Jednej nocy kilku żołnierzy niemieckich z „Panzerfaustami” weszło do domu, a dwóch do piwnicy. Byli nieogoleni i wyglądali groźnie. Szukali Rosjan (?), po czym zażądali żywności. Pani Borgoszowa dała im resztki chleba, piętki i skórki. Bez słowa je zabrali, zapytali kogoś najbliższego na Bielsko i odeszli. - „Mogli nam

w podziękowaniu za te skórki wpakować jedną pigułę do piwnicy" - zdobył się na koszmarny żart tatuś Maksia.

W czwartek 25 stycznia w późnych godzinach wieczornych Niemcy wysadzili oba mosty. Od huków zgasały karbidówki i dwukrotnie kłapnęła kłapa od piwnicy. Potężne eksplozje nie zrobiły na mnie oczekiwanego wrażenia; już przyzwyczaiłem się do huku. Przypomniałem sobie teraz o dyskusji prof. Kucharskiego z sędzią Erbem. Skoro mosty wyleciały w powietrze, wyzwolenie było już bardzo blisko. Następnego dnia koło południa wyszliśmy na podwórkę. Pierwsze wrażenie to rozkosz wdychania tlenu pełną piersią. Ale gdzież jesteście? Co to za księżycowy krajobraz? Całe najbliższe otoczenie domu było dosłownie zryte od pocisków armatnich i bomb. Leje niby miniaturowe krater, otwierały swe czarne paszczki. Zaiste - to cud, iż domek pozostał nietknięty groźną ręką wojny. - „Bogu niech będą dzięki!” - powiedziała moja mama. Pani Borgoszowa otarła dłonią łzę i poszła gotować żur, przysmak zachowany na radosną chwilę. Z wąwozu wyłonił się Józik i pokazał papierosa, którego otrzymał od żołnierza - wyzwoliciela. Dopiero wtedy zrozumieliśmy, że to koniec udręki i niewoli, a my ŻYJEMY! Wprawdzie jeszcze grzmiały salwy artyleryjskie, ale już w oddaleniu. Nadeszła pora, aby wrócić do swoich na ulicę 3 Maja. Mama zgodziła się, bym poszedł z Józikiem Borgoszem. - „Dziecku Ruscy nie wyrządzą krzywdy” - ktoś tłumaczył.

Okolo godziny 15.30 udaliśmy się w kierunku głównej szosy. Dzień był dość mroźny, pochmurny i po południu już szarzało. Brudnego śniegu leżało niewiele. Zbliżywszy się do ulicy 3 Maja, ujrzeliśmy sunącą masę wojska. Tak, to była dosłownie ruchoma masa posuwająca się nieustannie na trasie most - rynek. Olbrzymia większość szła, ale nie brakowało Kozaków na koniach, jak gdyby żywcem przeniesionych z obrazów Wojciecha Kossaka. Przestraszyłem się ich.

Żołnierze parli całą szerokością ulicy: jeźdźnią, rowami i chodnikami. Podobni do siebie opatuleni, z pepeszami i woreczkami z prowiantem, przeważnie wszyscy mieli czapki-baranice, wielu karabiny z bagnetem osadzonym na sztorc. Kozacy w białych kurtkach z futerkiem uzbrojeni byli w nagany. Nie zwracali na nas uwagi, gdy staliśmy przy drodze. Józik był podniecony i wzruszony, ja ciągle jeszcze wystraszony, a przy tym trochę rozczarowany. To takie wojsko? Inaczej sobie wyobrażałem wkroczenie sprzymierzonej armii, bardziej uroczyste, defiladowo.

Tu i ówdzie paliły się domy, a z oddali dochodziły wciąż strzały armatnie. O kilka kilometrów stąd jeszcze trwała wojna, której już nie potrafiłem sobie wyobrazić. Nowe wrażenie opanowało mnie bez reszty. Byliśmy wolni, wolni ... Przesuwający się pochód wojska, już po chwili przestał mnie intrygować. Byli tacy sami i szli do przodu - to wszystko. Pomyślałem o moich najbliższych. Czy żyją? Czy są zdrowi? Nasz dom stał po drugiej stronie ulicy. Jak przebrnąć przez wezbraną żołnierską rzekę? Józik ujął mnie mocno za rękę i jakoś przeszedł. Dom stał na swoim miejscu, tylko wszystkie szyby w oknach były wybite. Wewnątrz panował nieprzyjemny półmrok. Szybko przeszliśmy przez sień i kuchnię. Wreszcie pokój... Przed piecem kłęczą tata i rozpala ogień. Powitanie, łzy, jest Henryk, są też obie siostry, wszyscy cali bez szwanku, tyle, że czarni jak murzyni! Okazało się, że w piwnicy u pani Fijałkowej, gdzie się schronili, uczerzyła ich sadza. Po łzach następuje śmiech.

-„Która godzina?” - pytam

Tatuś sięgnął do kieszeni kamizelki, a Marylka spogląda na przegub lewej ręki. To odruch. Nie dowiedziałem się, która godzina. - „Zabrali zegarki, Romeczku...”

-„Kto?”

-„Zabrali i już”

Dowiedziałem się, że Niemcy zagarnęli wszystką żywność, jaka posiadaliśmy. Natomiast żołnierze radzieccy, aczkolwiek przychylnie do nas nastawieni, żywo interesowali się zegarkami. Byłem oburzony, choć nie długo, bowiem wkrótce różne przykłady wyjaśniły mi niektóre skomplikowane mechanizmy związane z wojną, frontem, wojskiem ...

Rozległ się grzmot, jak podczas trzęsienia ziemi. Nadjeżdżały czołgi. Ława wojska rozsunała się, jeden z czołgów stanął przed naszym domem. Łufa działa wystająca z paszczy czołgu z charakterystycznym zgrzytem przesunęła się w kierunku wadowickiego parku. Błysk ognia połączył się z potwornym hukiem wystrzału. Resztki szyb wyleciały z okien, a mnie zdawało się że wszystko wokół jeszcze drży. Po chwili padł drugi strzał - i czołg odjechał w stronę rynku.

Zabezpieczyliśmy okna jako tako. Tymczasem ogień w piecu zaczął wesolo buzuwać i nasza rodzinna grupka poczęła się ogrzewać. Józik pożegnawszy się wrócił do swoich, by przekazać mojej mamie dobre nowiny. Zaczęliśmy się zastanawiać co tu zjeść.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Ktoś nacisnął klamkę i śpiewnie zapytał: - „Maażna?” - i wszedł. Był to oficer a z nim dziesięciu żołnierzy. Przywitanie wypadło dość sympatycznie, a przybysze poprosili o kwatery. Byli niezwykle zmęczeni, czasu mieli niewiele, najwyżej cztery godziny. Rozlokowali się tu i tam, w kuchennym piecu zapłonął ogień, w kilku garnkach grzała się woda. Żołnierze sięgnęli po zapasy: chleb, konserwy, wędzonkę, cebule ... Nam pociekła ślinka. Oficer (był to chyba kapitan) zaprosił nas do stołu. Zrobił to z pewnego rodzaju wdziękiem, może udawał, że nie widzi naszych pożądlivych spojrzeń, jakimi obrzucaliśmy frontowe wiktuały. Najedliśmy się do syta, a żołnierze po posiłku natychmiast usnęli. Dowódca podtrzymywał rozmowę z tatą.

Obserwowałem śpiących, którzy leżeli na podłodze, jak w wygodnych łóżkach. Za koldry i pierzyny służyły im płaszcze. Żołnierska dola. Przebudzeni, gdy nadzedł czas, wstali bez szemrania, powiedziałbym obojętnie. Pozbierali się szybko, poęgnali naprawdę serdecznie i odeszli. Jeszcze dziś mieli brać udział w akcji bojowej.

Pod stołem zostawili spory pakunek. Cóż to takiego? W brezentowe płótno zawinięte było pół barana. Prezent czy....? Upłynęło pół godziny nerwowego oczekiwania. Znow ktoś zastukał do drzwi. jeden z żołnierzy powrócił. A więc nie prezent, po prostu zapomnieli... Żołnierz od progu oświadczył, że coś zostawili - „.....o jest!” - wyjął zza szafy butelkę wina, uśmiechnął się i odszedł. Baraninę jedliśmy przez kilka najbliższych dni.

Powyższy tekst jest kontynuacją wcześniej publikowanych fragmentów wspomnień autora.